Nr. 10 We Lwowie, 16 maja 1929 Rok 51




ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

SEWERYN KROGULSKI

# Pół wieku!

(Ciąg dalszy)

A teraz kolej na streszczenie szczegółów dotyczących zapoczątkowania w owym dniu jubileuszowym nowej ery działalności M. T. Ł.

Gdy prezes mowę swoją skończył, nastąpiło odczytanie przez sekretarza Wydziału inż. Danka, 55 telegramów i pism z życzeniami, które nadesłały: Min. roln., Związki i Towarzystwa łowieckie, leśne, strzeleckie, rybackie, przyrodnicze, gospodarcze, rolnicze, ziemiańskie, wybitne osobistości władz cywilnych, wojskowych i świata myśliwskiego.

Profesor historji sztuki, Władysław Podlacha, prócz życzeń dla Towarzystwa, zamieścił w swem piśmie następujące słowa: „Korzystam ze sposobności, ażeby wyrazić Panu Prezesowi i Komitetowi żywą wdzięczność, że mimo rozbieżnych opinij w sprawie polichromji i ołtarza kaplicy łowieckiej raczyli Panowie uwzględnić projekt, którego wykonanie będzie zawsze świadczyć o poważnem zrozumieniu walorów sztuki nowoczesnej".

Po odczytaniu tych pism i telegramów prezes oznajmia: „Stwierdzam, że cała Polska solidaryzuje się z naszem świętem i wyrażam wdzięczność tym wszystkim, którzy raczyli w tej formie o nas pamiętać".

Następnie przemówił ordynat Tadeusz Czarkowski-Golejewski: „Skromność naszego czcigodnego Prezesa, nie pozwoliła mu nic o sobie powiedzieć. Nasze Towarzystwo przechodziło kilka faz nieszczęśliwych, ale zawsze znalazły się osobistości, które je ratowały. I znowu, po zawierusze wojennej mianowicie, Towarzystwo to było bliskie rozlecenia się, wówczas wziął w ręce kierownictwo czcigodny Prezes i on wyratował Towarzystwo. (Oklaski). Nie szczędził ani trudów, ani grosza, żeby je podnieść do dawnego znaczenia. Na wzór naszego Towarzystwa tworzyły się w Polsce inne Towarzystwa łowieckie, statuta od nas biorąc. Jego zasługi uczciła cała Polska, bo powierzono mu kierownictwo Związku wszystkich Towarzystw łowieckich w Polsce. Jako takiemu ja, jeden z najstarszych może tu członków, życzenie składam, żeby jak najdłużej naszem Towarzystwem kierował i opiekował się niem w najdłuższe lata, czego oby mu Bóg użyczyć raczył". (Oklaski).

Odpowiedź Prezesa na to przemówienie brzmiała: „Zabieram znowu głos, by w słowach, którym może wzruszenie moje nie pozwoli, by były rzecznikami uczuć moich, wyrazić najgłębsze podziękowanie czcigodnemu Nestorowi Łowiectwa Tadeuszowi Czarkowskiemu, który raczył w tak łaskawych słowach do mnie przemówić, a które Wy Panowie zechcieli przez aklamację poprzeć i

dla mnie stworzyć najmilszą pamiątkę solidarności tej, którą z nim połączyliście się, żeby skromne moje zasługi w ten sposób podnieść. Od lat dziecinnych żyłem w najściślejszej spójni z łowiectwem; w latach dziecinnych byli mi nauczycielami ci, którzy umieli wzbudzić w sercu zapał do łowów i miłość do przyrody, do fauny naszej. Mistrzami moimi byli Kazimierz Wodzicki, Starzeński (Leopold) i im tylko zawdzięczam, o ile dane mi było może w skromnej mierze przyczynić się do przeprowadzenia Towarzystwa łowieckiego przez rafy okresu wojennego. Jednakowoż nie chcę sam tylko zbierać podziękowania.

Dzielę tę radość z waszej aklamacji z b. wiceprezesem Sewerynem Krogulskim, który razem ze mną pracował. Wiele mieliśmy chwil przykrych, wiele zwątpienia, ale Pan Bóg i św. Hubert pomogli, — wytrwaliśmy i dzisiaj zbieramy owoce". (Oklaski).

Poczem przewodniczący Komitetu budowy ołtarza św. Huberta A. Mniszek omawia okoliczności związane z wcieleniem tej zbożnej myśli Dr. Józefa Ekielskiego w znak widomy. „Kapitał znaczny, zebrany przed wojną w kwocie 6.000 K, zmalał skutkiem przewartościowania waluty do zera. Akcja nowej zbiórki grosza na ten cel, dzięki ofiarności myśliwskiej społeczności, umożliwiła wreszcie dokonać dzieła, oddawna tak gorąco przez ogół nasz upragnionego.

Ale proszę Panów, dzieło jest nieskończone, — brakują mianowicie witraże, stylowe świeczniki, kielich i t. d. A ponieważ wydatki dotychczasowe zł. 13.112, przewyższyły fundusz uzyskany zł. 12.335, pozostaje więc do pokrycia niedobór zł. 777. Na to wszystko potrzeba jeszcze zebrać około 3.000—4.000 zł. Wobec czego wnoszę: żeby dodatek 50-groszowy do wkładek członkowskich obecnie uiszczany, zachował moc obowiązującą do następnego Walnego Zgromadzenia".

Prezes wypowiedział słowa uznania i podzięki za wielkie zasługi, które przewodniczący Komitetu budowy ołtarza, A. Mniszek, położył w tej sprawie. (Oklaski).

Wnioski powyższe uchwalono jednomyślnie.

Przewodniczący komisji rewizyjnej D. Toth, czyni wniosek na udzielenie Wydziałowi absolutorjum i wyrażenie podziękowania za nadzwyczajną wytrwałość i doskonałą gospodarkę. (Oklaski). Wniosek zatwierdzono.

Po zwolnieniu sekretarza od wygłoszenia sprawozdania z czynności Wydziału za rok ubiegły, z racji, iż było ono ogłoszone w Łowcu — przystąpiono do wyborów.

Na wniosek delegata Wilhelma Wychery, umotywowany jego dłuższem przemówieniem, wybrano przez aklamację prezesem Juljusza hr. Bielskiego, a wiceprezesami Cyryla Czarkowskiego - Golejewskiego, Alberta Mniszka i Dr. Alfreda Sandera.

Wybory uzupełniające do Wydziału odbyły się kartkami. Do komisji skrutacyjnej prezes powołał członków: Wojciecha hr. Gołuchowskiego, Władysława Biesiadeckiego i Józefa Jabłonowskiego.

Z ogłoszonego wyniku głosowania skład Wydziału na r. 1926-27, przedstawia się następująco:

Prezydjum jak wyżej.

Członkowie: inż. Kazimierz Drapella, inż. Adam Ebenberger, Władysław Garapich, Tomisław Jędrzejowicz, Witołd Kwiatkowski, Dr. Aleksander Małaczyński, jen. Walery Maryański, Edward Münter, Stanisław Pieńczykowski, Henryk Prek, Aleksander Ulm i Dr. Witold Ziembicki.

Zastępcy: St. Jaśkiewicz, St. Kiełczewski, jen. Franciszek h. Crivelli Meraviglia, Dr. Franciszek Piechowski, Dr. Jerzy Rosienkiewicz i Dr. Izydor Śnieszek.

Na wniosek hr. Gołuchowskiego, wybrano przez aklamację ponownie dyr. Djonizego Totha i inż. Kazimierza Gąsiorowskiego członkami Komisji rewizyjnej na dalsze trzy lata.

Do Sądu myśliwskiego w miejsce śp. Tadeusza Cieńskiego — na wniosek Stefana hr. Badeniego — przez aklamację wybrano członkiem Ludwika hr. Koziebrodzkiego.

Wiceprezes Dr. Sander odczytuje statut „Nagrody Żywca"*), ofiarowanej z okazji jubileuszu na premiowe strzelania, przez honorowych członków naszego Towarzystwa arcyksiążąt Karola Stefana, Karola Olbrachta i Leona, Panów na Żywcu.

Następnie del. Wł. Biesiadecki domaga się dostarczenia członkom legitymacyj, które obecnie wyszły już z użycia.

Po udzieleniu wyjaśnienia w tej sprawie przez wiceprezesa Sandera przekazano rezolucję interpelanta do załatwienia Wydziałowi.

Wkońcu zarządza prezes odczytanie pisma Wielkopolskiego Związku Myśliwych w Poznaniu, zapraszające członków MTŁ. na strzelanie konkursowe w Szelągu

Obecny na Walnem Zebraniu delegat Związku p. Metzig zaproszenie popiera to ustnie.

Na tem skończyły się obrady o godzinie 1,30.

* * *

**Akademja** odbyła się tegoż dnia o godzinie 6-tej po południu, w sali Ogniska Oficerskiego przy ul. Fredry, w obecności licznie zebranych dostojników naszego grodu, uczestników Zjazdu i elity publiczności.

Rozpoczęła się ta uroczystość odśpiewaniem kantaty „Memorjal" Glazunowa, przez mieszane chóry „Lwowskiego Towarzystwa Śpiewackiego Lutnia Macierz", pod batutą J. Leszczyńskiego, dyrektora opery lwowskiej. Sola wykonali: mezzosopranistka Inasińska, tenor Koczur, — akompanjował pianista Harasymowski.

Po przebrzmieniu harmonijnych tonów pięknej kantaty, nastąpiło przemówienie

P r e z e s a M. T. Ł. J u l j u s z a hr. B i e l s k i e g o:

„Łaskawe Panie! Szanowni Panowie! Przypada mi w udziale zaszczytny obowiązek zagajenia tej uroczystej Akademji, która jest jednym z najwznioślejszych momentów, mających uczcić święto uroczyste jubileuszu 50-letniego istnienia naszego Towarzystwa Łowieckiego; gdyż Akademją zwykliśmy wyjątkowe tylko czcić zasługi lub wyjątkowe uwypuklać chwile".

*) Kosz srebrny w artystycznem wykonaniu.

Poczem Prezes zwraca się z wyrazami najszczerszej wdzięczności ku tym wszystkim, którzy uroczystość tę obecnością swoją uświetnić raczyli.

A dalej mówca zaznajamia pokrótce audytorjum z historją naszego Towarzystwa, o celowości jego założenia i półwiekowej działalności tegoż w kierunku odbudowy łowiectwa polskiego w każdej jego dziedzinie.

„Przed laty 50-ciu uważano łowiectwo jako zabawkę możnych a krzywdę maluczkich. Dziś mało kto wątpi o ważności tej gałęzi gospodarstwa krajowego. Każdy także wie, że łowiectwo pobudza do wytwórczej pracy cały szereg placówek przemysłowych, z łowiectwem ściśle związanych. Łowiectwo wychowuje zastępy młodzieży w karności, uczy sztuki władania bronią, hartuje ciało i ducha, przysposabia do obrony ojczyzny. Łowiectwo jest piękną tradycją, łączącą teraźniejszość z świetnemi czasami, kiedy to królowie nasi zajmowali się łowami, kiedy każdy wojownik był w chwili pokoju łowcem. Towarzystwo nasze przyczyniło się również do oczyszczenia ojczystego języka łowieckiego z naleciałości obcych. — Dbałość o jego samowystarczalność, staranie o zaklęcie dźwięków ojczystej mowy w myśl i słowo — to jest już przejaw najczystszego patrjotyzmu.

Jeżeli wspomniałem to ważkie słowo patrjotyzm, miłość ojczyzny, to muszę dodać, że w łowiectwie, obcując z naszą przepiękną przyrodą i ucząc się ją kochać, wydoskonalamy się coraz bardziej w kochaniu Ojczyzny“.

Kończy Prezes swe przemówienie trafną definicją, że „kto w łowiectwie szuka jedynie zadowolenia prainstynktu zabijania, jest tylko „strzelaczem“. Na miano myśliwego zasługuje tylko ten, który kocha przyrodę, bo ona siłą swego piękna uszlachetnia, koi nasze troski i pociesza. Przez uwielbianie ojczystej przyrody, wznosimy się o jeden szczebel wyżej w uczuciach miłości dla Ojczyzny, coraz gorętszej“. (Długotrwające oklaski).

* * *

Przemówienie Juljana Ejsmonda:

„Przypadł mi wielki zaszczyt powitania dzisiejszego Zjazdu w imieniu Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych. Wielki zaszczyt — bowiem obchodzimy dziś wielkie święto łowiectwa polskiego.

Nie jest to uroczystość poszczególnego zrzeszenia, ani nawet całej części odrodzonego państwa. Obchodzimy dziś 50-lecie nowoczesnego polskiego myślistwa, zrodzonego za ciężkich czasów zaborczych pod opiekuńczemi skrzydłami najzasłużeńszego w Polsce Towarzystwa Łowieckiego“.

— Szkoda, że znów z przyczyn poprzednio już wymienionych, możemy z tego pięknego przemówienia przytoczyć tu dosłownie tylko wyimki.

Mówca, zaszczytnie znany poeta i pisarz — znawca literatury łowieckiej — bo myśliwy, — znakomicie naszkicował dzieje łowiectwa polskiego od jego zaczątków po dobę dzisiejszą.

Przesunął przed audytorjum doskonale zreżyserowany dźwiękowy film barwnych obrazów, pouczający: czem łowiectwo było w czasach pierwotnych, czem następnie przez długie wieki.

Oto: „W zaczątkach dziejów było ono zaprawą do boju w ciągłych zmaganiach się z olbrzymami puszczy i z zachodnim najeźdźcą. Długie wieki było szkołą walki, krzepiącą ciało i duszę; długie wieki źródłem, z którego czerpano nietylko pokarm, futra i leki, lecz i radość życia, tę staropolską radość „wsi spokojnej, wsi wesołej“, która tętni tak przemożnie w całej naszej dawnej poezji.

Wespazjan Kochowski głosił wówczas:

„To byt na świecie, byt nieporównany
być jednym z cechu Diany
i jeżeliś nie myśliwy —
nie będzie żywot szczęśliwy“.

Zaś Jan Ostroróg dodawał: „Kto się nie kocha w polowaniu — jest człowiek podły“...

Po bujnym rozkwicie staropolskich łowów, po romantycznym czarze sokolnictwa, po bohaterskich zmaganiach się z niedźwiedziem, żubrem i turem, nastał zmierzch myślistwa narodowego, poczynający się od smutnej pamięci czasów saskich.

Łowiectwo straciło znaczenie wychowawcze i gospodarcze. Stało się rozrywką krwawą a bezmyślną, polegającą na rzezi, na „wyrębie mięsa“, na strzelaniu z altan do puszczonego z klatek zwierza. Upadek ten pociągnął za sobą też upadek łowieckiego ducha czasów późniejszych.

Minęła dawna radość życia i cała literatura nasza rozbrzmiewać poczęła żałobnym płaczem za utraconym rajem myśliwskiej przeszłości. Legendą romantyczną stały się „pełne zwierza bory“, rzeczywistością zaś zostało jedynie „pełno zbójców na drodze“.

Temi słowy mówca zakończył swój szkic minionych dziejów polskiego łowiectwa.

Następnie omawia epokę jego odrodzenia, „lecz nie odtworzenia z prochów dawnych kształtów, których według słów poety (Asnyk), „żaden cud nie wróci do istnienia“. Podnosi zasługi zarówno tych, którzy w czasie beznadziejnego zwątpienia, wielką myśl budowy polskiego myślistwa nowoczesnego podjęli, jak i tych, którzy „idąc z wiarą, nadzieją i miłością w przyszłość“, budowę tę wykończyli w zupełności.

Podkreśla dalej mówca, doniosły cel działalności Towarzystwa - Jubilata według wytycznych zapowiedzianych w 1-szym numerze „Łowca“ 1878 r.

Poszczególniając szereg chlubnych wyników działalności, osiągniętych w każdej dziedzinie myśliwskiego pola, akcentuje przedewszystkiem doniosłość stworzenia prasy łowieckiej i wzbogacenie literatury, — czem rodzime myślistwo podniosło „do znaczenia wychowawczego i gospodarczego dla jednostek i dla Państwa“.

Przytoczywszy jeszcze dosłownie znaną ocenę wartości myślistwa przez Jakóba Kazimierza Haura i Kazimierza hr. Wodzickiego, kończy referent Min. Roln. swe przemówienie znamienną sentencją:

„Dlatego witając Zjazd dzisiejszy podnoszę jego do-

niosłość i życzę w imieniu Rządu, najstarszemu i najzasłużeńszemu w Polsce Towarzystwu Łowieckiemu dalszego świetnego rozwoju ku chwale ojczystego myślistwa, co pod wytrawnem kierownictwem takiego orędownika łowiectwa, jak Pan Prezes hr. Bielski, jest rzeczą pewną". (Oklaski).

* * *

**Referaty:**

Prof. Janusza Domaniewskiego: „Geograficzne rozmieszczenie zwierząt łownych w Polsce" i Dra Witolda Ziembickiego: „Jan Sobieski jako myśliwy", wygłoszone przez autorów — stanowiły najbardziej zajmującą część programu Uroczystej Akademji.

Oba te odczyty w całości wydrukował „Łowiec" w zeszycie 7 i 8 z roku 1926-go.

Polskiej literaturze łowieckiej przybyły dwie źródłowe prace wielkiej wartości.

Niepodobna ich tu powtórzyć, a to ze względu na dwuarkuszową objętość obu. Nakazem wszakże onej chwili dziejowej jest, aby z tego miejsca zrecenzować je choćby najskąpiej.

C. d. n.



JERZY POTOCKI

# W górach Karory — marzec 1929

Ciąg dalszy

## 2. Polowanie na Kudu (Strepticeros Kudu)

Przez 4 dni włóczyliśmy się noga za nogą na czele karawany wzdłuż wijących się kamienistych wąwozów w piekącym skwarze słońca. Czasem trzeba było przebyć strome górskie przełęcze, to znów okraczać olbrzymie głazy, które zawalały drogę i żółwim krokiem wspinać się do tej ziemi obiecanej, o której opowiadał nam nasz przodownik Mohamed Ali. Tutaj naocznie mogłem się przekonać, że tylko wielbłądy, jako zwierzęta mądre i wytrzymałe, mogą taką drogę przebyć bez szwanku dla cennych bagaży i prowjantów, które niosły na grzbietach ze stoicznym spokojem. Krajobraz nie zmieniał się prawie zupełnie. Ciągle te same przygniatające swem ponurym wyglądem góry i zakręty dzikich potoków w nieskończonej ilości i w równych niemal odstępach. Wreszcie 4-tego dnia marszu zaczęły rzednąć skaliste szczyty, a stoki pokryły się mięsistym krzewem i różnemi innemi roślinami. Byliśmy teraz na wysokości 1,500 m zdala zupełnie od jakichkolwiek koczujących osiedli arabskich na płaskozwyżu zwanym Eirerib i tutaj rozbiliśmy nasze namioty na kilkudniowy postój połączony z polowaniem. Klimat zdrowy i rześki, dnie gorące, a noce chłodne rozkosznie wpływały na usposobienie, a ranki i wieczory przynosiły przy wschodzie i zachodzie słońca wprost niesłychaną barwę kolorów na

# Najpiękniejsze w poleskiej kniei dublety

**Wspomnienia z niedalekiej przeszłości**

**napisał Poleszuk**

— No dziury w niebie nie będzie od tego, jeżeli was w tem błocie i zakopią, dosyć jeszcze waszego żydowskiego nasienia na szerokiej Rusi zostanie.

— Oj, towarzyszu-pułkowniku, chyba wy nie zamierzacie powracać do Mińska? Coś u was jezyk zanadto naoliwiony?

— Pożyjemy — zobaczymy kto z nas wróci. A tobie żydowska mordo, nie mnie grozić! Siedź cicho, słuchaj smirno i patrz w oba, co się robi. Po skończonej robocie dostaniesz swoją część i idź k je..... mat...

— No, no, towarzyszu. Nie macie o co się gniewać. Ja tylko tak sobie. Zezłościł mnie ten bałwan Siemionow. Ja wiem, że wy pierwszy gieroj na całuju Biełorusju i człowiek sprawiedliwy. Nie skrzywdzicie niewinnego — i usiadł potulnie na kłodzie, trzymając oburącz pomiędzy drżącemi kolanami swoją huzarską szablicę.

Nazywany pułkownikiem wstał z odrazą z kłody, spojrzał na zegarek, podszedł pod pień sosnowy z drugiej strony ogniska i tam wyciągnął się na rozpostartym na ziemi szynelu.

Obóz zaległa cisza przerywana trzaskiem płonących szczap, szeptem rozmawiających przy ogniskach dziwnych postaci i dalszem lub bliższem pohukiwaniem prawdziwych sów leśnych. Ale przy jednem z ognisk po dłuższej ciszy powstała nagle głośniejsza swarliwa wrzawa.

— Cicho tam! — huknął przebudzony z drzemki „pułkownik". Wrzawa nie ustawała.

— Zamilczycie, czy nie, swołoczy?! — podbiegł do nich z trzciną w ręku.

— A to jakże tak? — lamentował jeden z bandy — Cóż to u nas za dyscyplina? Ja złapałem przez sen rękę etoho sukin syna w mojej kieszeni z pieniędzmi, a on i oddawać nie chce.

— Tak ty przyjdź do mnie, do swego naczalstwa i dołóż o co chodzi, a nie drzyj się bałwanie tutaj wśród nocy — i zamachnąwszy trzymaną trzciną zdzielił nią ze świstem przez łeb poszkodowanego.

— A ty, sobacze ścierwo, — podszedł do speszonego winowajcy — czego łazisz po cudzych kieszeniach? Chcesz posmakować sznurka i gałęzi? — zdzielił go kułakiem po twarzy, aż chłop zachwiał się w jedną stronę. — Chcesz tu pozostać na sośnie? — wyrżnął go z drugiej strony, aż poleciał koziołkując w krzaki. Ja was nauczę staroreżimowej dyscipliny, pieskie wasze nasienie! Niech jeszcze raz posłyszę jakieś szumy, mordy wam wszystkim na dynie pokuję, okajannyje! Spać ścierwo i czekać sygnału! — i odszedł twardym krokiem pod swoją sosnę.

bezchmurnej kopule niebios. Przed oczami rozciągała się długa i obszerna dolina, na której zrzadka widniały małe kopuliste pagórki w dalekiem obramowaniu gór, tonące literalnie w obfitej zieleni drzew, kwiatów i tej mięsistej rośliny, będącej ulubionym przysmakiem antylopy Kudu. Ptaszki najróżnorodniejsze furkotały w tem idealnem otoczeniu podzwrotnikowej wegetacji, a stada małp hasały bezkarnie i ucieśnie po drzewach i pagórkach, nawołując się śmiesznemi głosami i bezczelnie podchodząc na bliski dystans do obozu. W niczem zaiste nie przesadził Mohamed Ali, prawiąc cudy o tem płasskowyżu, tembardziej, że była to w pełni stolica antylop Kudu, które żyły tu nie trapione ani napadem drapieżnych felinów, ani ludzi, a nawet od dwóch lat nie zaznała ta spokojna okolica śmiertelnej broni białego człowieka. To też podchody w chłodzie rannego świtu



Rozkład polowania ogólny: 3 kudu, 6 koziorożców
J. P. 2 duże kudu, 4 koziorożce

---

Huzarska szabla wojownika nerwowo brzęczała na obalonej kłodzie.

Obóz znowu zamarł w nocnej ciszy.

Zbliżała się północ.

Z południowej strony odezwało się kilkakrotne wabienie sowy.

Rozstawione czaty odpowiadały temsamem tajemniczem hasłem i po kilku minutach w towarzystwie dwóch zbrojnych w karabiny drabów stanął w świetle ognia poleszuk Mykita.

— Podejdź tu bliżej — zakomenderował „pułkownik", a wojownik poderwał się z siedzenia na kłodzie i podbiegł też do przybyłego.

Mykita, jak automat, zbliżył się na wezwanie.

Dlaczego nie przychodziłeś na pierwsze wezwanie? Spytał go ostro, siadając na ziemi z posłania, dowódca.

— Prysłau za mnoju pan leśniczyj. Musym ity desiat wiorst do joho. A jakby ne poszou, bułoby podozrenje.

— Nie breszesz? Pamiętaj — mówił dalej spokojnie, ale twardo po rosyjsku — zaprowadzisz na miejsce, obsypię cię złotem, a zdradzisz — śmierć twoja pewna. Z mojej ręki nie wyjdziesz.

— Ja toje znaju — odparł filozoficznie poleszuk.

— Nu smotri, diedu! — i wstał z ziemi.

— Przecież chodziłeś ze mną zrana na miejsce — wtrącił się „komisarz". — Obiecałem ci dobrą nagrodę, jak wszystko gładko pójdzie, miałeś przyjść sam przed wieczorem, a trzeba było posyłać po ciebie ludzi. Pamiętaj, że gdybyś zdradził...

— Da ostańtie-że raz i nie treszczitie, towariszcz — przerwał nieskończony potok komisarskiej elikwencji pułkownik. — Wszędzie musicie wetknąć swoje niepotrzebne trzy grosze. Już teraz zapóźno gadać, — czas zacząć działać — i po tych słowach przyłożył dwa palce do ust i z cicha gwizdnął.

Na ten odgłos cały obóz, jak jeden mąż, poderwał się na nogi, za drugiem gwizdaniem ludzie złapali za stojące w kozłach karabiny, a za trzeciem ustawili się w jedną długą linję, przerywaną co dziesiąty ze stojących*).

Przed frontem stanął „pułkownik", a obok niego dreptał „komisarz".

Ataman twardym, stanowczym tonem zakomenderował:

— Jegorow! Poszczitaj!

Wezwany, stojący z lewego flanku brodacz, wystąpił z szeregu i zaczął, wzdłuż idąc, głośno liczyć. Gdy skoń-

*) Obok obdartych brodaczy - wielkorusów, stali skośnoocy tatarzy, jasnowłosi białorusini, a rzadko trafiała się i szara świtka, płócienne portki i łykowe łapcie poleszuka, ale ci byli wyłącznie kilkunasto letnimi wyrostkami.

należały do najprzyjemniejszych i emocjujących wrażeń z afrykańskiej dżungli, bo zwierza było dużo, a czujność antylop wymagała dużo sprawności, doświadczając nerwy myśliwego coraz to nowemi niespodziankami. Kudu należy do najrzadszych i największych antylop afrykańskich o majestatycznym wyglądzie, przypominającym górskiego jelenia i o wspaniałych w dużych spiralach zakręconych rogach, dochodzących do 1½ m wysokości. Byk Kudu ma kolor sierści myszaty, z kilkoma białemi pręgami i nieznacznym białym trójkącikiem między oczami, oraz jasną grzywkę na podgardlu i wzdłuż kości pacierzowej. Większy od jelenia, ruchami i sposobem zachowania się bardzo go przypomina, przez co różni się od wszystkich innych antylop afrykańskich, a zamieszkując tylko bardzo ograniczone terytorjum na czarnym kontynencie, stwarza trofeum nader cenione przez myśliwych.

Podczas rannego pochodu pierwszego dnia zobaczyłem mnóstwo tropów wciśniętych w miałkim piasku, a nawet miejscami wydawało mi się, jakby całe stada Kudu wędrowały wszerz i w poprzek tej rajskiej doliny. To też z Idrisem na czele posuwałem się nader ostrożnie, badając z kamienistych wzniesień całą okolicę, aby dostrzedz zwierza, który w rannych godzinach pasł się na soczystej trawie. Lecz dzień okazał się pechownym, bo jednego byka spłoszyliśmy, mojem zdaniem, niepotrzebnie z powodu złego wiatru, tak że tylko potężne rogi mignęły mi się w znacznem oddaleniu, a w powrotnej drodze natknąłem się na dwie pasące się bezrogie łanie, które donośnym bekiem oznajmiły przybycie nieproszonych gości. Jeszcze dwa następne podchody wypadły niefortunnie i bez rezultatu tak, że niepowodzenie zaczęło mi dokuczać i ciągle liczyłem dnie, które pozostały jeszcze do polowania. Miałem prawo na odstrzał dwóch sztuk, a nie chcąc zabić słabego byka, musiałem wybierać i marnować dużo drogocennego czasu. Dopiero czwarty dzień przyniósł mi pełne powodzenie w darze od św. Huberta i odrazu oba cenne trofea, o których od dawna marzyłem.

Niema ciekawszej i przyjemniejszej chwili w afrykańskiej dżungli, jak ciche kroki, stawiane przez myśliwego w brzasku wschodzącego dnia. Roślinność cała ocieka rosą, ptaki nawołują się dziwnemi głosami, a na bezchmurnym firmamencie coraz to nowe grają kolory, póki pyszne i spokojne słońce nie strzeli tysiącami promieni, żarem swym i światłem gasząc rajską idyllę przedświtu. Tylko myśliwy w swem zapamiętaniu dąży wciąż naprzód, wchłania piękną naturę, lecz chce zabić nie dla przyjemności zabicia, lecz dla zaspokojenia pradawnego instynktu, który śmierć i życie łączy w jeden spiot wielkich przemian natury. Z oczyma utkwionemi w prymitywnego mieszkańca puszczy, a podobnemi uczuciami trawiony, szedłem za moim przewodnikiem ku sinej dali zrębów górskich, wśród wijących się dolin i niewysokich przełęczy z nadzieją spotkania upragnionego zwierza. Lecz i dzisiaj długo musiałem czekać, zanim zabłysło dawno oczekiwane szczęście. Cały ranek zeszedł nam na bezowocnej włóczędze i skwar słońca zaczął dopiekać tak mocno, że postanowiłem dać za wygranę i wrócić do obozu. Było już około południa,

---

czył, wrócił do badającego ostrem spojrzeniem cały wyciągnięty szereg, „pułkownika" i służbiście zaraportował:

— Siemdziesiat dwa czełowika.

— Słuszaj! — huknął do szeregu „pułkownik". — Pierwszy dziesiątek z Jegorowem zostanie przy mnie! Następnych trzy — pod dowództwem Polaty pójdą gęsiego, prowadzeni przez gajowego! Pozostałe trzy — pod komendą Wiszowatoho w takim samym porządku o 50 kroków z tyłu. Ostatnich dwuch ludzi pozostanie pilnować obozu. Po dojściu do plantu kolejowego Polata ze swoimi ludźmi pójdzie na prawo i prawą stroną plantu, Wiszowatyj — lewą. Na mój pierwszy sygnał stanąć, na drugi — zaledz i rozmieścić się tyraljerą w krzakach. Po nadejściu pociągu słuchać wybuchu pierwszej petardy, potem drugiej i trzeciej, po której pociąg stanie. Na mój sygnał otworzyć ogień karabinowy po szybach wagonów, — każdy do najbliższego okna. Na następny mój gwizdek — co drugi i trzeci z tyraljery biegną z karabinami gotowymi do strzału i wchodzą do najbliższych wagonów, pierwsi — zostaną w ukryciu rozstrzeliwując każdego z uciekających z pociągu podróżnych. Od pasażerów burżujów brać przedewszystkiem pieniądze i biżuterję, a potem co cenniejsze rzeczy; chłopów i biedniejszych żydów nie ruszać. Za sprawnem i ścisłem wykonaniem będę śledził ja i moi ludzie. Za każde uchybienie — pula w łob na miejscu!

Na mój sygnał momentalnie stanąć przy mnie. Jeżeliby ktoś nie mógł stawić się z powodu rany — dobić! Poniali?

— Poniali — poszedł pomruk po szeregu.

— Mykita. — Ruszaj. Polata — w pochód!

Poleszuk, opierając się na długiej lasce, ruszył wąskim leśnym trybem na północ, a za nim Polata z długim sznurem swoich ludzi, w odstępie 50 kroków Wiszowatyj ze swoimi, a wreszcie sam „pułkownik" w awangardzie ze swoim dziesiątkiem i bełczącym się przy nim „komisarzem". Długi martwy w swej nocnej ciszy, nie mający zdawało się końca i początku, leśny tryb, prostą, jak naciągnięta struna linją przecinająca puszczę, oświetlony bladą poświatą księżyca ożywił się u podnóża niebowyżnych leśnych olbrzymów, stanowiących jego dwie prostopadłe i mknące w dal ściany, drugą żywą przyziemną linją, wężowo wijącą się po wydeptanej przez zwierza i ludzi w głębokim mchu i wrzosach ścieżce. Milczący ten płaz ludzki — karzeł wobec olbrzymich ścian boru — pełzł, zdawało się bezszelestnie dla nieograniczonego ucha ludzkiego, ale trwogę budził w czujnym nocnym zwierzu.

C. d. n.

gdy raptem Idris zobaczył świeży ślad Kudu wyciśnięty w piasku. Zaczęliśmy się ostrożnie posuwać za tropem, który czasem ginął w trawach, lecz ustawicznie prowadził w dół ku szerszym dolinom, gdzie cień parasolowatych drzew chronił przed wzmagającym się upałem dnia. W pewnym momencie, dochodząc do ostrego zakrętu doliny, Idris przywarował jak kot do ziemi i łypnąwszy oczami, wyszeptał w narzeczu arabskiem „tor kebir". Znałem dobrze te dwa magiczne słowa, które oznaczają bliskość dużego samca, to też ze sztucerem gotowym do strzału i utrzymując w karbach falującą emocję, postąpiłem krok naprzód i ujrzałem wychylające się z za ciernistego krzaka dwie zaalarmowane i wietrzące niebezpieczeństwo łanie, a za niemi ogromnego i wspaniałego byka. Przez chwilę zamroczyło mnie nieoczekiwane spotkanie, lecz i już powróciły zmysły do równowagi, gdy zwierz ruszył, a następnie przystanął na możliwy dystans, dając temsamem dobrą sposobność do strzału. Strzeliłem z dubeltowego sztucera raz i drugi, raniąc go śmiertelnie, a chociaż, chwiejąc się powoli, uchodził, wiedziałem, że daleko ujść nie może. Zaledwie zagrzmiały moje strzały, gdy cała dolina zaroiła się licznem stadem antylop. Były tam łanie z cielętami i młode samce, ale nadewszystkiem górowały dwa duże byki, które zaniepokojone strzałami, uchodziły wprost na przeciwległy pagórek. Dystans był duży, liczyłem do 300 kroków, lecz na moje szczęście byki wciąż przystawały, oglądając się za stadem, a przytem nie robiły zbyt płochego wrażenia. Nabiwszy z powrotem sztuciec, wybrałem sobie dogodną pozycję i po drugiej wypuszczonej kuli zauważyłem ku niekłamanej radości, jak jeden byk runął w ogniu ze złamanym krzyżem. Reszta stada uciekła pędem. Teraz już zagrzmiał okrzyk tryumfu, lecz darliśmy się z całych sił naprzód, by dokończyć rozpoczęte dzieło śmierci. W niedalekiem od siebie oddaleniu na przeciwległem wzniesieniu doliny odszukałem z łatwością oba wspaniałe okazy, które mimo śmiertelnych postrzałów z dużego kalibru, dawały oznaki niezwykłej jeszcze witalności. Dwie kule przerwały nić gasnącego żywota i położyły kres polowaniu, przynosząc mi w darze dwa przepiękne trofea, a zarazem garść niezapomnianych wrażeń myśliwskich z tajemniczych głębin czarnego kontynentu.



ANTONI PISULIŃSKI

# Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Ciąg dalszy)

Obserwując często te zwierzęta — czyto za pomocą mego teleskopu, czyto idąc godzinami za stadem, gdy wiatr sprzyjał, starałem się wypatrzeć chwilę, kiedy wejdą w las, lub bagna aby tam — korzystając z jakiej takiej osłony — podkraść się na możliwie dobry strzał z grubego kalibru*).

Nic z tego.

Bawoły, jakby przeczuwając, że je śledzi ciekawe oko człowieka, cały dzień spędzały na spalonym stepie — w ciągłej wędrówce — raz w jednym, to znów w odwrotnym kierunku.

żerowały i kąpały się tylko w nocy, i jeszcze nocą opuszczały te miejsca — tak, że już z wschodem słońca widziało się ich ciemno-szare sylwetki ciągnące w długiej linji środkiem odkrytej równiny.

Jakże odmiennie działo się na tych samych terenach dwa lata temu! Bawoły spotykałeś wszędzie. Mniejsze stada plątały się po dżungli, w lesie palmowym, a nawet dość wysoko w górach — większe — nieprzekraczające jednak liczbą kilkudziesięciu sztuk — najczęściej na bagniskach, gdzie żerowały i kąpały się w ciągu dnia— w poczuciu zupełnego bezpieczeństwa.

Co prawda — to bagna te i zalewy były podówczas znacznie większe, pastwiska obszerniejsze, a trzciny je otaczające — formalne lasy, gdzie w razie niebezpieczeństwa ze strony człowieka — mogły znaleźć w jednej chwili, niedostępną dla siebie kryjówkę.

Jakież więc czynniki mogły teraz wpływać na ich obecną taktykę? — Chyba lwy?

Ale lwy polowały nocą — a te właśnie żerowiska były celem ich zwykłych wypraw. Tam też urządzały skuteczne zasadzki, jak to ze znajdowanych często szczątków tych przeżuwaczy — sądzić wypadało. I musiała ich być w tym czasie ilość niezwykła, bo wieczorem, gdy wyłaziły ze swych legowisk z dżungli lub z lasów — zdawało się, że idzie stamtąd burza, tak grzmiało i dudniło od ich, pełnej grozy, ale i niepośledniego uroku — choralnej serenady.

Chociaż dziesiątki bawołów padały ofiarą tych nocnych rabusiów, nie odstraszało to jednak tych zwierząt od odwiedzania żerowisk porą nocną.

Byłem bezsilny. Mimo wielkich starań z mej strony, nie zdołałem w ciągu miesiąca ani razu zejść tych przeżuwaczy w pobliżu żerowisk, zaś podczas prześladowania ich na spalonym stepie — mogłem strzelać tylko na dalekie dystanse.

*) W tej wyprawie posługiwałem się podwójnym sztućcem niemieckiego wyrobu (Immana z Suhl) kalibru 10, odsprzedanym nam z grzeczności przez por. Wissmanna, znanego podróżnika afr. — późniejszego gubernatora Kolonji — Deutsch Ost-Afrika.

Ponieważ nieraz sam z nożem w ręku asystowałem przy rozbieraniu zabitego bawoła i mogłem się przekonać naocznie, jak silną jest budowa jego ciała, nie dałem się pokusić na daleki strzał z mniejszego kalibru, jakkolwiek do mego podwójnego ekspresa Nr. 500, posiadłem naboje o pełnych pociskach. Uważałem bowiem, że tak samo, jak słonia lub nosorożca, tak samo i bawoła — powinno się strzelać z wielkich kalibrów, aby nie doznać rozczarowań, jakich sam nieraz doznałem, a jakie zbyt często spotykają nowicjuszy.

Długi czas wstrzymywałem się od strzelania, czekając na dobrą sposobność, tem więcej, że chodziło mi o to, aby zdobyć jaknajpotężniejsze poroże.

Sposobność — niestety — długo nie przychodziła. Pocieszałem się jednak myślą, że przecież bawoły po jakimś czasie oswoją się z moją osobą, wreszcie się umęczą — a wtedy podbiegłszy — wybiorę sobie na strzał najodpowiedniejszą sztukę.

I cóż się pokazało?

Gdym je pewnego dnia w ten sposób podganiał — i to nie raz, ale kilkakrotnie — wywołałem w końcu takie zamieszanie w stadzie, że stłoczywszy się w jedną zbitą kupę, nie mogło przez chwilę ruszyć z miejsca. Znalazłem się wtedy przy nich na sto kroków.

Ale znowu klapa — poszły bez strzału. Nie potrafiłem się zmierzyć — bo i jakże — gdy pot oczy zalewał, tchu w sobie nie miałem, a ręce drżały jak w febrze.

W dodatku — niech mi będzie wolno dziś do tego się przyznać — bałem się trochę, aby te rogate bestje nie zawróciły nagle po strzale i nie przegalopowały się, chociażby nawet bez złego zamiaru, po mojej osobie.

A były momenty wiele na to wskazujące. Na tyłach bowiem, skąd następywał pierwszy rozpęd do ucieczki, o czem grupa czołowa nie wiedziała i swym powolnym pochodem hamowała bieg — wyskakiwały na boki stare byki — jakby z zamiarem atakowania.

Emocja była krótkotrwająca, ale w każdym razie emocja, bo zrazu trudno się było zorjentować, co te bestje zamierzają. Później poznawszy, że to tylko manewr odruchowy — nie dałem się obałamucić. Poznałem zaś z tego, że gdym próbował podnieść broń do ramienia, lub starał się przyklęknąć, aby dla drżącej ręki uzyskać oparcie na kolanie — raptownie w tył zawracały i w galopie za resztą dążyły.

W końcu strzelałem i do tych wojowniczo nastrojonych byków — niestety bez skutku.

Sześć naboi ekspresowych zmarnowanych w jednym dniu, sześć sztuk ranionych — a zdobyczy żadnej. Uchodzące stado porywało postrzałki ze sobą, zaś zazwyczaj sił brakło, aby je dalej prześladować. Gdzie padły, i czy wogólności padły, nie dowiedziałem się nigdy.

Dwie sztuki, jakie po niewypowiedzianych trudach, prawdziwie w pocie czoła — zdobyłem, nie przyniosły mi żadnego zadowolenia; dwie marne krowy! że je dostałem w me ręce, zawdzięczam tylko okoliczności, że w miejscu, gdzie je strzeliłem, znajdowało się kilka kopców termitowych, za któremi ukryły się, odłączywszy się od stada, a które także umożliwiły mi dalsze podchodzenie i strzelanie w poczuciu pewnej ochrony podczas wypadu.

Obie wzięły w siebie po kilka kul z ekspresa, zanim je unieszkodliwiłem.

Tak zakończyłem moje łowy na bawoła na nagim stepie. Wypadły nędznie — wobec tej mnogości zwierza, jaki wówczas przesunął się przed mojemi oczyma; był to film, jakiego już nie wykręci żaden kino-operator, niestety utrwalony tylko w mej pamięci. Nie jedna wyjątkowa susza nawiedzi jeszcze te okolice, ale tej ilości bawołów już tam nie zgromadzi.

Z końcem września, gdy deszczu — nawet w górach — jak nie było, tak nie było, gdy bagna we większej części powysychały a pastwiska pokurczyły się do minimum, nie zobaczyłeś już na stepie mniejszych stad, jak po pięćset lub sześćset sztuk.

Miałem wrażenie, że jeśli posucha potrwa dłużej, to wszystkie stada połączą się w jedną olbrzymią armię bawolą, dla której nie byłoby już innego wyjścia z głodowej opresji, jak zginąć na tym — w innym czasie — tak żyznym stepie.

A jak nieimponująco przedstawiały się teraz te zwierzęta! Prażone słońcem, niemiłosiernie cięte przez muchy i bąki, z opuszczonemi ku ziemi łbami — wlokły się w kurzawie pyłu chwiejnym krokiem — bez celu.

Nie! — to chyba nie te groźne bawoły, o których tyle strasznych rzeczy opowiadano, nie te same, z jakiemi się w poprzednich moich wyprawach spotykałem — i strzelałem?! Stado bydła, ogłupiałe pod wpływem głodu — pędzone batem niewidzialnej ręki!...

Zapytywani przezemnie kafrowie, dlaczego bawoły łączą się w coraz większe stada, które im tylko utrudnia wyżywienie się — odpowiadali krótko: „dzua", słońce.

C. d. n.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

# O dawnych i obecnym zwierzyńcu w Krakowie

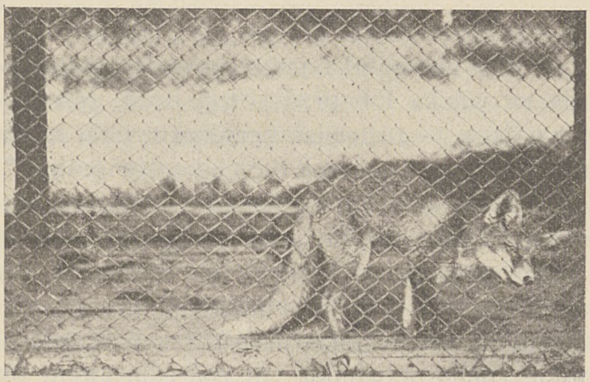
Ciąg dalszy

I jakież tu okazy spotykamy? Udajmy się wpierw na miejsce właściwego Zwierzyńca, potem przejdziemy do bażantarni. Ze ssaków widzimy: pięć wilków, z tego dwa młode ciężkie w budowie, szaro-siwe okazy pochodzące z Karpat, jest to rodzeństwo o klasycznej nazwie: Kastor i Polluks, mają nowe pomieszczenie, gdzie używają swobody bez łańcuchów, dar p. Jana Kopty z Rydlówki ad Kraków, w dniu 19. VIII. 1928 r. Trzy inne wilki mniejsze, lżejsze, silnie żółto-płowe sztuki z Polesia, ofiarował 10. I. 1929 r. Zdzisław hr. Tarnowski z Dzikowa.

Borsuk kupiony dnia 26. IV. 1928 r. u Józefa Serczyka, gospodarza w Toniach pod Krakowem za 15 zł.

Świstak, a były aż cztery sztuki tego rzadkiego zwie-

rzęcia w Zwierzyńcu. Darował je inspektor ogrodów miejskich w Krakowie, p. Aleksander Gauze dnia 5. XI. 1927 r. Trzymane w drewnianym baraku, z którego wychodziły nazewnątrz okienka, okratowane siatką, przegryzły nocą drut strawiony rdzą i uciekły na wolność. Widziano je kilkakrotnie, jak wśród białego dnia goniły po wałach przyległych. Nie zdołano ich jednak pochwycić. Wyniosły się przez gęstwinę leśną do niedalekich kamieniołomów na wzgórzu. Jednego zabił chłop w Przegorzałach, drugiego schwytał gospodarz pobliskiej wioski na marchwi w ogrodzie. I tę sztukę odzyskał Zwierzyniec za zapłatą odszkodowania. Co się z resztą stało, niewiadomo. Miały się one ponoś rozmnożyć na pobliskich kamieniołomach i tam ich miano kilka sztuk widzieć. Dla nauki byłby to wypadek dość ważny. Adjunkt leśny p. Koziarz, czynił ze strażą leśną nocne wycieczki, by fakt stwierdzić na miejscu, jednakowoż żadnego świstaka nie zauważył. Może zapadły w sen zimowy, wtedy okaże to wiosna i lato...



Lis myślący daremnie nad ucieczką

Pięć lisów niezbyt zadowolonych z niewoli, kręcących się nerwowo po klatce. Dary to pp. dyrektora Teofila Przybylskiego z Krakowa, 22. IV. 1927 r., Teofila Zjadacza z Podgórza - Kraków 24. IV. 1928, dr. Dunaja z Krakowa, zabrany 17. XII. 1928 r. i Krajewskiej.

Lisy te pochodzą z nizinnych okolic Krakowa, oprócz młodej liszki z Zakopanego, dar leśniczego p. Wójtowicza Jana, 2. VIII. 1928 r., którą odrazu poznać, jako formę górską, jest bowiem ciemno ubarwiona, podpalana i posiada dużą czarną pręgę od pyska do oka, gdy u lisów z nizin pręga ta jest słabo uwidoczniona.

Dwa dziki: samica bardzo ułaskawiona, nabyta 24. XI. 1928 r. przygodnie w Bieczu za 100 zł., ma swój barłog w chlewiku urządzonym gustownie z okrąglaków świerkowych, o dachu pokrytym korą dębową. Samurka ta ma specjalne upodobanie do barwnych sukienek, bowiem od maleńkości miała troskliwą żywicielkę w postaci kucharki, która nie żałowała jej rozmaitych kąsków. Samiec-warchlak, dar hr. Marji Tarnowskiej.

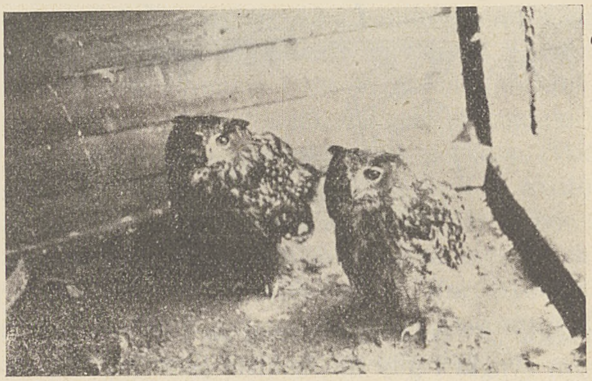
Kuna domowa (kamionka), schwytana w Lesie Wolskim pod sągiem drzewa, dar podleśniczego J. Parszywki i strażnika Waligóry 14. IX. 1928 r. Miała skaleczoną łapkę, jednak przy dobrem odżywianiu się jajami, śliwkami, mięsem i ptakami szkodliwemi, specjalnie dla niej ustrzelonemi, wyzdrowiała zupełnie. Niestety dotąd nie przyzwyczaiła się do życia dziennego i cały niemal dzień spędza na spaniu w klatce, wychodząc dopiero ze zmierzchem, ukradkiem, po przygotowane jadło.

Dwa jeże śpią w wygodnej budce, budząc się tylko, gdy im głód pocznie dokuczać. Dary to p. Antoniego Koziarza z Krakowa, 8. VIII. 1928 r. i p. Franciszka Mikundy, strażnika lasowego z Woli Justowskiej, 14. IX. 1928.

Jedenaście królików białych, których skórki mogą pójść w zupełności na wyprawę selskinów, dar to insp. Röhrenschefa z wystawy drobiu, odbytej w Krakowie dnia 8. XI. 1928 r.

Jeden królik dziki pochwycony młodo w lesie, pędzi samotnie dni niewoli.

Klacz „Poni“, dar barona Leona Konopki z Oleśna, przesłana 26. IV. 1928 r.



Para okazałych puhaczy

W ogromnej woljerze o kilku przedziałach, widzimy parę wspaniałych ospałych puhaczy, łypiących ogromnemi ślepiami, a trzaskających dzióbami przy zbliżeniu się do nich. Ptaki te są depozytem inż. Wobra i dra Merunowicza; samiec jest jednym z najwspanialszych okazów, zakupiony na wystawie drobiu w Krakowie dnia 9. XII. 1927 r. za cenę 300 zł., jako wab dla odstrzału drapieżników.

Obok przebywa żarłoczny jastrząb-gołębiarz, zajadający z apetytem dwa razy dziennie podawaną koninę, darował go insp. Röhrenschef z Krakowa, 8. XI. 1928 r. Sześć myszołowów siedzi leniwie na gałęziach drzewek umyślnie ustawionych w klatce, dary to pp. Wilczyńskiego Jana, 25. VII. 1927 r., generała Wróblewskiego D-cy O. K. V. 10. VII. 1928 r. i inspektora Gauzego, 15. VII. 1928 r., wszyscy z Krakowa.

Jest też piękny orzeł krzykliwy z Polesia, dar Komisarza Kasy Chorych Ochego z Stolina ad Siedlce, przesłany 5. I. 1929 r.

Jest też tu oswojona sroka „Baśka“, skrzecząca hałaśliwie i porywająca z zapałem błyskotki z rąk dozorcy, dar Stan. Bieniasa, robotnika lasów miejskich z Chełma, 8. VIII. 1928 r.

Gawron, dar podleśn. J. Parszywki z Woli Justowskiej, 31. XII. 1928 r.

C. d. n.

Gen. WALERY MARYAŃSKI

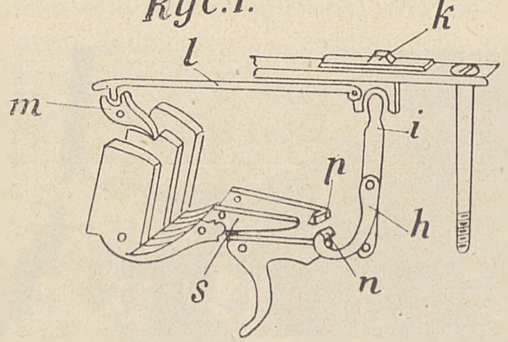
# Kilka uwag o konstrukcji modnych drylingów

Ciąg dalszy

Zademonstruję to na przykładzie.

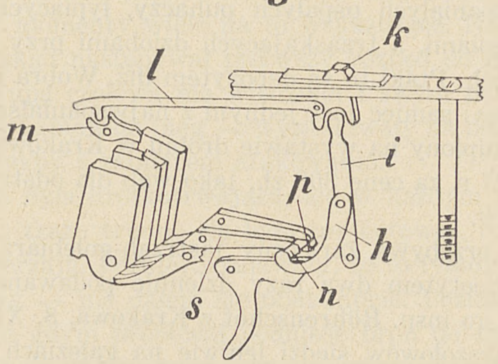
Ryc. 1 i 2 przedstawiają jedną z najlepszych ze znanych mi konstrukcji zamków bezkurkowych drylingów; jest ona nastawioną „na śrut" (wzgl. na strzał z prawej lufy). Widzimy suwak „k" (umieszczony na szyjce kolby), który stoi w kontakcie z jednej strony z dźwignią „i" wzgl. ze sprzęgłem „h" — z drugiej strony z szyną „l" wzgl. z bezpiecznikiem „m" zamka kulowego.

*Ryć.1.*




Sprzęgło „h" posiada nasadkę „n", która spoczywa na prawym cynglu i gdy mechanizm jest „na śrut" nastawiony — leży tuż pod końcem „p" dźwigni prawego zamka.

*Ryć 2.*




Przez pociągnięcie za prawy cyngiel wywiera się nacisk na nasadkę „n" a ta na dźwignię p r a w e g o zamka i wtedy pada strzał z p r a w e j g ó r n e j (t. j. śrutowej) lufy.

W tej tu opisanej pozycji spoczywa bezpiecznik „m" w zazębieniu młotka środkowego (kulowego) zamka — tak, że ten absolutnie spaść i przypadkowego wypału dobrej lufy, spowodować nie może.

Chcąc dać strzał z dolnej (kulowej) lufy — przesuwa myśliwy suwak „k" naprzód. Wówczas — patrz ryc. 2 — przesuwa najpierw dźwignia „i" sprzęgło „h" naprzód i nasówka „n" — ślizgając się po cynglu prawym — wchodzi pod dźwignię ś r o d k o w e g o zamka. Równocześnie z posunięciem suwaka „k" sunie się i szyna „l" naprzód, co powoduje, że bezpiecznik „m" wychodzi z zazębienia młotka środkowego i zabezpieczenie ustaje. — W tej pozycji nacisk prawego cyngla udziela się za pośrednictwem nasadki „n" dźwigni tego zamka i pada strzał z lufy d o l n e j.

Może się jednak zdarzyć, że przez przypadek suwak „k" posunie się tylko trochę naprzód i sprzęgło „h" wzgl. nasadka „n" znajdzie się w pozycji, uwidocznionej na ryc. 3.

*Ryć.3.*




Jeśli szpara między dźwignią „s" środkowego, a dźwignią „p" prawego zamka jest z powodu wadliwego wykonania za wązka lub przez rdzę, brud, zaschłą oliwę i t. p. zwężona — to nacisk prawego cyngla na „n" powoduje równoczesny nacisk na o b i e dźwignie „s" i „p" i wtedy wypalają o b i e lufy naraz — o ile nie ma automatycznego bezpiecznika „m", który już po nieznacznym ruchu suwaka „k" wprzód, nie dopuszcza do spadnięcia młotka w kulowym zamku.

Jakiego jednak artysty-rusznikarza potrzeba, by te wszystkie ruchy w zamku za pośrednictwem różnych dźwigni, szyn i t. p. były tak ze sobą zgrane, aby zupełnie pewnie funkcjonować!?

Jak, — że tak powiem — matematycznie dokładne musi być wykonanie, bez którego cała zresztą znakomita myśl konstruktora może się stać w praktyce iluzoryczną?

Ile czasu potrzeba, by ten majstersztyk wykończyć?

Czy można się dziwić, jeśli taki dryling, solidnie wykonany — wypadnie trochę drogo?

Czy można się dziwić, że jest jeszcze wielu bardzo poważnych myśliwych, którzy tylko kurkowe drylingi uznają?

Ad b) Chcąc mówić o nie dość pewnem funkcjonowaniu bezpiecznika, pozwolę sobie najpierw zaznajomić Sz. Cz. z zabezpieczeniem broni bezkurkowej wogóle, przedstawiając na ryc. 4 szemat najbardziej używanego zamka bezkurkowego, namontowanego na płycie cynglowej.

Są trzy rodzaje zabezpieczenia zamka a to:

zabezpieczenie cyngla (1),
„ dźwigni (2),
„ młotka (3).

Zwykle używa się tylko jednego sposobu zabezpieczenia. C. d. n.

# Korespondencje

*Kupna n. Sanem, w marcu 1929*

Zwierzostan w latach powojenn., prawie, że wszędzie się podnosił, jednakowoż tegoroczna ciężka i długotrwała zima, wypisała na nim swoje groźne „memento"; a jako fakt zapodaję zdarzenia w rewirze, którym zarządzam.

Z początkiem marca b. r., przyszła z sąsiedniego lasu do zabudowań mego leśnictwa, sarna, która na widok mój wcale nie reagowała; umieszczona w stajni i nakarmiona, tej samej jeszcze nocy padła; po dłuższej obserwacji, zauważyłem u niej jeden badyl zupełnie odmrożony.

Drugie zdarzenie miałem w lesie, gdzie między wiatrołomami znalazłem na wpół zamarzniętego rogacza; żył jeszcze, a przyniesiony przez gajowego na leśnictwo — padł również.

W lasach dóbr Krasiczyn, własność księcia Leona Sapiehy, do których kompleksu i mój rewir należy, przez zimę całą, zadawaną była zwierzynie obficie karma, w formie owsa w snopach, siana, ścinania iwiny, zwierzyna więc nie z głodu, lecz mrozu ginęła, gdyż również straż leśna kilka padłych sztuk sarn podjęła.

Wnykarze zato obchodzili żniwa swoje. Zające zbliżały się do osad ludzkich, a nasi „zacni kmiotkowie" hołdując swojej nienasyconej zasadzie, że: „co twoje to i moje" — skrzętnie na sidła łapali, a straż leśna nie mogła dać sobie wprost rady z wyszukiwaniem sideł po polach i chłopskich ogrodach, których po kilkaset sztuk tygodniowo podejmowała.

Kilka wnykarzy zostało przyłapanych na gorącym uczynku i władzom do należytego ukarania, oddanych.

Skutki obecnej zimy dopiero z wiosną dadzą się widzieć i nie jedna jeszcze sztuka wskutek chorób padnie.

Wskazanem by zatem było, aby na terenach mniej zasobnych w zwierzynę zamknąć polowanie dotąd, dopóki zwierzostan nie zabliźni ran swoich, poniesionych przez tegoroczną zimę. *A. Pirog* — leśniczy

*Kobylec, w marcu 1929*

**Głos z Pokucia.**

Rzut oka na miniony sezon łowiecki daje w porównaniu z sezonem 1927-28 obraz niekorzystny. Na wszystkich niemal polowaniach zauważyliśmy dość znaczny ubytek zajęcy. Nawet w łowiskach zaszanowanych, cieszących się opieką zamiłowanych myśliwych-hodowców osiągano rozkłady przeciętnie o połowę mniejsze, niż w sezonie poprzednim. Dlatego należałem do delegatów, którzy oświadczyli się za skróceniem czasu polowania na zające, z czem nie utrzymaliśmy się, jak się zdaje z powodu odmiennych opinji z innych stron Małopolski. Natomiast cieszyliśmy się widoczną poprawą rozmnoży sarn, których stan szczególnie w północno-zachodniej części powiatu kołomyjskiego (Turka, Dobrowódka, Kamionki Wielkie, Korszów, Czeremchów, Słobódka leśna) zbliża się już do stanu przedwojennego.

Niestety wyjątkowo sroga zima wielkie poczyniła szczerby w szeregach naszych tanecznic leśnych, nawet w tych rewirach, w których zaopiekowano się niemi w sposób racjonalny. Z otrzymanych dotychczas wiadomości wynika, że ofiarą padły przeważnie sztuki młode. A cóż powiedzieć o biednych kuropatwach! Temu i owemu udało się otoczyć opieką i przekarmić przez zimę jakie stadko—pozatem miłe te i nadzwyczaj pożyteczne ptaki padały ofiarą srogiej zimy, szkodników skrzydlatych, lub co gorsza nienasyconej a okrutnej zachłanności ludzkiej.

Skoro mowa o ptakach, muszę wspomnieć o moim sąsiedzie L. B., mieszkającym na skraju powiatu śniatyńskiego, opodal doliny Prutu. Szczęśliwca tego kochają nietylko ludzie, ale i ptaki i to takie, które zwykły śmiertelnik rzadko ogląda! W ciągu poprzednich zim odwiedzały go łabędzie (gędźce), ostatniego lata i jesieni: bataliony, siewki złote, filistynki. Gęsi biwakują tam rokrocznie podczas przelotu jesiennego bardzo licznie. Polowaliśmy u niego w dzień Wigilji Bożego Narodzenia w łęgach nad Prutem. Przy 13-stopniowym mrozie strzelaliśmy do krzyków, szybowały nad nami liczne stada kaczek (różnych odmian) i traczy hoholi (Mergus merganser), z których jeden padł. Chłopak z nagonki złapał ręką na cieplicy zupełnie zdrowego perkoza (Podiceps cristatus). Widziano też czaplę i czajkę (!), nadto parę stadek kuropatw. Czy można się dziwić, że wobec takiej obfitości przeróżnego ptactwa, uwaga myśliwych była skierowana głównie ku niebiosom. Korzystała z tych studjów ornitologicznych szara rzesza zajęcza, zostawiając na rozkładzie nielicznych reprezentantów.

Cześć św. Hubertowi! *Leopold Łysakowski*

**Z Oddziału Małop. Tow. Łow. w Krakowie.**

W uzupełnieniu mego sprawozdania z powiatu krakowskiego, przytaczam jeszcze daty, otrzymane z Tow. Myśliw. „Czernichów".

Tow. dzierżawi tereny w 18 gminach o łącznym nieprzerwanym obszarze koło 10.000 ha. W ostatnim sezonie odbyło 14 polowań gremjalnych w 10—15 strzelb z następującym ogólnym wynikiem:

Ubito zajęcy 568, lisów 5, kuropatw 198, bażantów 21, kaczek 67, gęś dzika 1, krzyków 42, kulików 21, derkaczy 3, gołębi 2, kwiczołów 2 i cietrzew 1.

Nadto zabiła straż polowa i leśna: psów 65, kotów 146, łasic 21, jastrzębi 8, wron 101, srok 87, — oraz zniszczyła 34 gniazda wronie i srocze. Koszta ubitych szkodników wyniosły zł. 705.

Kraków, dnia 11 kwietnia 1929.

*Józef Stiller* em. gen. dyw.
Prezes Oddz. M. T. Ł. i delegat C. Z. P. S. Ł. na powiat krakowski

*Chodorów, w kwietniu 1929*

Dnia 20 grudnia 1928, odbyło się polowanie w rewirze Dąbrowa, własność księcia Eugenjusza Lubomirskiego. — W rozkładzie na 7 strzelb, było 39 zajęcy. Rogaczy nie strzelano zupełnie. Zwierzostan bardzo dobry, spotykano stada sarn w ilości od 10 do 15 sztuk.

W rewirze Jasionów w ubiegłym sezonie ze względu na złą aurę i ciężką zimę, polowania nie urządzano.

Miniony okres katastrofalnych śniegów i mrozów spowodował że padło 15 młodych sarn, w tem 3 szpiczaki.

że zima nader ostra nie zrobiła większej szkody w zwierzostanie Państwa Chodorów, zasługa księcia Eugenjusza Lubomirskiego, który będąc myśliwym-hodowcą, wraz ze swym dyrektorem p. Wacławem Sadowskim, nie szczędząc trudów i kosztów, zajęli się zwierzostanem, ratując go od zagłady.

Aby wyrównać ubytek sarn, najprawdopodobniej właściciel nie skorzysta z udzielonego mu odstrzału 50 sarn, który otrzymał w roku 1928, ze względu na nadmierną i nieproporcjonalną ilość sarn.

Z należnem zrozumieniem powitać należy zarządzenie starosty powiatu bóbreckiego, p. Tadeusza Chmielewskiego, który, jako komisarz rządowy Wydziału powiatowego w Bóbrce, stworzył w powiecie Radę Łowiecką, do której pomianował poważnych obywateli myśliwych-hodowców, którzy swym głosem doradczym starać się będą naprawić straty powstałe przez minioną katastrofalną zimę i starać się podnieść zwierzostan choćby w części do stanu przedwojennego.

Również wydane zarządzenia w sprawie kłusownictwa i wnykarstwa, wydadzą dodatnie rezultaty.

Oby tego rodzaju rozumne zarządzenia znalazły miejsce i w innych powiatach, a wówczas śmiało możemy patrzeć się w przyszłość.

*Lesław Katzer*
del. M. T. Ł.

*Żydaczów, w kwietniu 1929*

**Z Towarzystwa Łowiecko - rybackiego w Żydaczowie.**

Stan zajęcy w jesieni r. 1928-29, był na łowiskach tutejszej okolicy bardzo rozmaity a mianowicie na łowiskach nawiedzonych powodzią katastrofalną we wrześniu 1927 r., prawie że zupełnie zając wyginął, natomiast na terenach wyżej położonych było zajęcy stosunkowo dużo, bo jakkolwiek lęg marcowy z powodu zawiei śnieżnych z mrozami wyginął, to suche i ciepłe lato sprzyjało bardzo rozmnoży. To też spotykałem polując na ptactwo z wyżłem jesienią prawie wszędzie tak małe zajączki, jak najmniejszy gatunek królika, a na grudniowych polowaniach padały przeważnie same młode nie wyrośnięte. Ponieważ łowiska dzierżawione przez Towarzystwo tutejsze są położone przeważnie w zalewowym terenie, więc rezultaty tegorocznych polowań są bardzo znikome.

Polowano tylko w grudniu i to na trzech najlepszych terenach a to: w Rogóźnie, Iwanowcach i Żydaczowie, z rezultatem 23-ch zajęcy, inne tereny jak obydwie Demenki opuszczono, gdyż zupełnie zajęcy w jesieni nie zauważyłem.

W styczniu zaś z powodu strasznej zimy uważałem za stosowne raczej dokarmiać zwierzynę, zamiast na nią polować.

Kupowałem siano i kazałem strażnikom w dwu laskach należących do Towarzystwa w zacisznych miejscach do drzew przywiązywać, aby wicher nie roznosił i śnieg nie przykrył, kuropatwy zaś gromadzące się pod stertami faszyn nad rzeką Stryjem karmić kazałem pszenicą.

W innych miejscach kuropatwy zupełnie wyginąć musiały, gdyż z powodu ogromnych śniegów nie można było wykryć miejsca, gdzie przebywały.

Zresztą mrozy syberyjskie wydusiły je lub tak ubezwładniły, że stawały się pastwą drapieżników i miejscowej ludności.

Nie chcę się rozwodzić nad klęską zwierzyny w czasie tegorocznej syberyjskiej zimy, gdyż musiałbym powtórzyć w zupełności treść korespondencji Delegata M. T. Ł. z Dąbrówek pod Łańcutem, w numerze 6 Łowca, a powtóre zostawiam to pp. Delegatom naszego powiatu do napisania, ogólnikowo tylko nadmieniam, że kuropatwy i sarny prawie zupełnie, lub do 75% stanu wymarzły.

Poczuwam się zato do obowiązku zdać sprawozdanie z kilku pięknych polowań, w których brałem udział.

Dnia 29 grudnia, odbyło się polowanie w majątku SS. Miłosierdzia z Rozdołu w Kijowcu. W lasku około 200 morgowym padło w 7 strzelb 13 zajęcy a powinno było paść conajmniej dwa razy tyle, gdyby nie krzywe śruty niektórych uczestników, jakoteż po śniadaniu gęsta mgła, uniemożliwiająca dalsze polowanie. Tu nadmienić wypada, że nowy administrator p. Paluch szczerze się zajął ochroną zwierzyny; przed rokiem na tym terenie prawie że zwierzyny zupełnie nie było, ale zato spotykano pod lasem stanowiska kłusowników i farbę podjętego zająca.

Dnia 5 stycznia b. r. w Czernicy u p. Stefanusa w 12 strzelb ubito 40 zajęcy i lisa; drugi postrzelony poszedł skończyć żywot w jamie. Do rogaczy nie strzelano, jakkolwiek sarny były w każdym miocie.

Tu należy podnieść niestrudzoną energję gospodarza w hodowli i opiece nad zwierzyną, — wszędzie widać zadawaną karmę, schroniska w polu dla kuropatw. Te ostatnie znalazły w tej ciężkiej zimie nielada opiekuna i dobrodzieja w panu Stefanusie, ogłosił, że każdy kmiotek za złapaną żywą kuropatwę w czasie mrozów otrzyma nagrodę 3 zł.

W ten sposób wykupił pono kilkadziesiąt sztuk, które do wiosny w schronisku przetrzymał.

Zajęcy mogło paść o wiele więcej, olbrzymie jednak śniegi pozwalały z trudnością tylko poruszać się nagonce, która nie była w możności utrzymać szeregu regularnego i z zasp śnieżnych każdego zająca wystraszyć.

Złożone przez uczestników polowania 60 zł. dla służby łowieckiej przesłał gospodarz na moje ręce z życzeniem użycia tej kwoty według uznania mego na cele łowieckie. Przesyłam je przeto równocześnie przekazem z prośbą przyjęcia **na fundusz budowy ołtarza św. Huberta w kościele św. Elżbiety.**

Dnia 22 stycznia brałem udział w polowaniu urządzonem przez p. Starostę Agopsowicza w Pokrowcach, w lasach ks. Lubomirskiego.

Rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania, gdyż w 12 strzelb padło 52 zajęcy i 2 rogacze, — pięknym był szczególnie ostatni miot przy samej leśniczówce, który roił się formalnie od zwierzyny i po licznych strzałach dał rozkład 17 zajęcy.

Przed dwoma laty polowanie to skończyło się rezultatem 13 zaledwie zajęcy i rogaczem z przeciętą przez drut wnykarza krtanią; — jest to miejscowość na granicy żydaczowskiego powiatu, stykająca się ze wsią Stryhańce w Stryjskim powiecie, słynnej z kłusownictwa.

Przypuszczam jednak, że wyniku polowania w tym wypadku nie należy przypisywać jedynie ochronie i zwalczaniu kłusownictwa przez straż łowiecką w tak krótkim czasie, lecz także okoliczności tej, że straszne mrozy i wysokie śniegi spędziły biedne szaraki do lasu ze wszystkich okolicznych pól i tem tłumaczę sobie niezwykłe wyniki polowań niektórych, mimo niekorzystnych dla rozmnoży zwierzyny lat poprzednich.

Dowodem tego jest rezultat polowania, w którem również uczestniczyłem, urządzonego przez Zarząd dóbr ks. K. Lubomirskiego w Cucułowcach i Lisiatyczach w dniu 24 stycznia.

W kilkanaście strzelb ubito 40 zajęcy i 2 rogacze i to przeważnie w wiklinach nad rzeką Stryjem, w których wysoka woda r. 1927, bezwarunkowo wszystko wytopiła. Brak czasu nie pozwolił na wyzyskanie reszty miotów w lasach Lisiatyckich, gdyż z powodu syberyjskiego mrozu myśliwi niektórzy przyjechali z 2 godzinnem opóźnieniem.

W krzakach i w lesie roiło się od zajęcy, zato w polu nie zauważyłem nawet śladu, gdzie zając z powodu wysokiej warstwy śniegu nie mógł się dogrzebać żadnego pożywienia a narażony był na mroźne wichry.

Teraz snując nie wesołe horoskopy na przyszłość, należy strzelby schować, by nie drażniły widokiem a wziąć się do wszelkich sposobów pomnożenia zwierzostanu, by choć w części złagodzić skutki strasznej zimy.

Wiele tu mogą obecnie zdziałać nowo utworzone t. zw. Powiatowe Komisje łowieckie, o ile się składają rzeczywiście z ludzi dobrej woli.

Nadmieniam w końcu, że w miesiącu lutym donoszono mi ciągle o tropach trzech wilków w pobliżu miasta zauważonych, a nawet mówili mi myśliwi, że spotkali się w czasie podróży z wilkiem, że koń się tak spłoszył i uniósł, iż połamał dyszel u sań i t. p.

Zastanawia mię jednak okoliczność, że nikt się nie skarżył, jakoby mu wilki coś z inwentarza żywego pożarły, — więc chyba zeszły z gór na mrożoną sarninę, której w bród miały w najbliższych żydaczowa łowiskach.

*Inż. Antoni Korasiewicz*
Łowczy Towarzystwa Ł. R.



# Sprawy Towarzystwa

**Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 6 maja 1929 r.**

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski obecni: wiceprezesi A. Mniszek i A. Sander, członkowie Wydziału inż. A. Ebenberger, Wł. Garapich, T. Jędrzejowicz, St. Pieńczykowski, H. Prek, Dr. J. Rosienkiewicz, zastępcy M. Chrzanowski i Fr. Meraviglia i prowadzący protokół Wł. Wesołowski.

Nieobecność usprawiedliwili: St. Jaśkiewicz, Dr. A. Małaczyński wiceprezes gen. J. Stiller i Dr. W. Ziembicki.

Porządek Walnego Zjazdu w dniu 21 i 23 czerwca ustalono. Porządek ten podany zostanie do wiadomości w numerach czerwcowych „Łowca".

Delegatem mianowano inż. Stanisława Kleję w Drohobyczu. W poczet członków przyjęto: Inżyniera Stan. Kleję w Drohobyczu, inż. Emila Łabęckiego w Toruniu, Polski Klub Myśliwski w Złoczowie i Towarzystwo Łowieckie w Śniatynie.

Uchwalono wystąpić przed Walnem zgromadzeniem z wnioskiem podniesienia wkładki kwartalnej o 50 gr na ozdobniejsze wydawanie „Łowca".

*

**Zjazd delegatów** M. T. Ł. odbył się w dniu 9 maja br. w sali Tow. Kredytowego Ziem., na którym Prezydjum Wydziału przedstawiło jakie wnioski przesłano Centralnemu Związkowi w sprawie potrzeby nowelizacji prawa łowieckiego tudzież przyjęło do wiadomości i dalszego przesłania dezyderata Panów Delegatów w tej sprawie.

Omówiono też sprawę klęski jaką zwierzyna poniosła w skutek niebywale ostrej zimy i zaznajomiono Panów Delegatów o zarządzonych rozszerzeniach czasu ochronnego już przez Panów Wojewodów wydanych.

Rozporządzenia te w całości podajemy poniżej.

*

**Ze strony Wydziału M. T. Ł.** przypomina się P. T. służbodawcom straży łowieckiej i Panom Delegatom, żeśmy w numerze 5-tym „Łowca" podali do wiadomości ,iż statut odznaczeń dla zasłużonych członków straży łowieckiej został uchwalony i że nic już nie stoi na przeszkodzie wyróżnianiu odznaczeniami na to zasługujących.

Z przykrością zaznaczamy, że dotąd wpłynęło zaledwie jedno zgłoszenie o odznaczenie strażnika.

*

**Członkom M. T. Ł. zamieszkałym w okręgu Województwa krakowskiego,** podajemy do wiadomości, że w porozumieniu z naszym Oddziałem w Krakowie postanowiliśmy, iż dla uproszczenia manipulacji i rozrachunków, członkowie ci mają od początku II. półrocza wkładki płacić w Oddziele w Krakowie, ul. Kremerowska Nr 12 lub je przekazywać na konto P. K. O. 405.265 dla tego Oddziału.

ROZPORZĄDZENIE

wykonawcze Wojewody Lwowskiego z dnia 26 kwietnia 1929 r. L. 18 (łow.) o zakazie polowania na sarny, kozły oraz kuropatwy na obszarze Województwa lwowskiego.

Na zasadzie art. 51 punktu b. rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 o prawie łowieckiem (Dz. U. R. P. Nr. 110 poz. 934) oraz § 1 rozp. Ministerstwa Rolnictwa z 17 marca 1928 (Dz. U. R. P. Nr. 45 poz. 488) zarządzam co następuje:

§ 1.

Zabrania się polowania na sarny, kozły od dnia ogłoszenia niniejszego rozporządzenia w Lwowskim Dzienniku Wojewódzkim, do dnia 31 stycznia 1930 r. na całym obszarze Województwa lwowskiego.

§ 2.

Zabrania się polowania na kuropatwy w czasokresie od 1 września do 30 listopada br. na całym obszarze Województwa lwowskiego.

§ 3.

Przekroczenie postanowień niniejszego rozporządzenia ulega ukaraniu w myśl przepisów rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 o prawie łowieckiem (Dz. U. R. P. Nr. 110 poz. 934).

§ 4.

Na odstępstwo od powyższego zakazu może zezwolić miejscowy Starosta w razie wniesienia uzasadnionej prośby o odstrzał i stwierdzenia, że żądany odstrzał ze stanowiska racjonalnej hodowli i gospodarki łowieckiej jest niezbędny i konieczny.

Zezwolenie takie może zostać udzielone na odstrzał sarn, kozłów jedynie na okres czasu od 1 czerwca do 31 lipca br. na odstrzał kuropatw na okres czasu od 1 września do 30 listopada br.

§ 5.

Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia w Lwowskim Dzienniku Wojewódzkim.

*

ROZPORZĄDZENIE

Wojewody stanisławowskiego z dnia 26 kwietnia 1929, o rozszerzeniu czasu ochronnego na kuropatwy, sarny, kozły i zające szaraki na całym obszarze Województwa stanisławowskiego.

Na podstawie art. 108 ustęp 1 pkt b. rozporządzenia Prezydenta Rzplitej z dn. 19 stycznia 1928, o organizacji i zakresie działania władz administracji ogólnej (Dz. U. P. Nr. 11 poz. 86) art. 51 ustęp a. Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927, o prawie łowieckim (Dz. U. Rz. Nr. 110 poz. 934) i § 1. Rozporządzenia Ministra Rolnictwa z dnia 17 marca 1928 o przekazaniu Wojewodom niektórych uprawnień Ministra Rolnictwa, wynikających z art. 51 rozporządzenia Prezydenta Rzpltej z dnia 3 grudnia 1927, o prawie łowieckim (Dz. U. Rz. P. Nr. 45 poz. 448) zarządza się co następuje:

§ 1.

Zabrania się polować na całym obszarze Województwa stanisławowskiego w roku 1929, w czasie niżej oznaczonym (czas ochronny) na następujące zwierzęta:

a) na kuropatwy w czasie od 1 września do 30 listopada 1929;

b) na sarny, kozły w czasie od 21 kwietnia do 1 czerwca 1929;

c) na zające szaraki do 15 listopada 1929.

§ 2.

Winni przekroczenia niniejszego rozporządzenia będą karani po myśli art. 77 Rozporządzenia Prezydenta Rzpltej z 3 grudnia 1927, o prawie łowieckim (Dz. U. Rz. P. Nr. 110, poz. 934) grzywną do 500 zł oraz aresztem do 6 tygodni.

§ 3.

Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

ROZPORZĄDZENIE

Wojewody Tarnopolskiego z dnia 25 kwietnia 1929 L. Ad. 4174, w przedmiocie rozszerzenia czasu ochronnego dla sarn (rogaczy) i dla zajęcy.

Na podstawie art. 51 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 3 grudnia 1927 (o prawie łowieckiem) Dz. U. R. P. Nr. 110 poz. 934 § 1 rozporządzenia Ministra Rolnictwa z dnia 17 marca 1928, Dz. Ust. R. P. Nr. 45 poz. 448, o przekazaniu Wojewodom niektórych uprawnień Ministra Rolnictwa wynikających z art. 51 zacytowanego rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia o prawie łowieckiem rozszerzam czas ochronny dla sarn, kozłów od dnia 21 kwietnia do dnia 1 czerwca 1929 roku, zaś dla zajęcy, szaraków od dnia 15 października do dnia 1 grudnia 1929.

Przekroczenie niniejszego rozporządzenia karane będzie po myśli art. 77 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 Dz. Ust. P. Nr. 110, poz. 934 grzywną do 500 złotych oraz aresztem do 6 tygodni.

Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia i obowiązuje na całym obszarze Województwa tarnopolskiego.

**Z polskiego Klubu Myśliwskiego w Złoczowie.**

Zwyczajne Walne Zgromadzenie członków Polskiego Klubu Myśliwskiego w Złoczowie, odbędzie się dnia 30. maja 1929, we czwartek, o godzinie 5-tej względnie 5,30 po południu w sali Seminarjalnej Koła T. S. L., ul. Tarnopolska 9.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Z Drukarni Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32